

MAREK PIWOWARCZYK
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Substancjalizm bez pułapek abstrakcji. Odpowiedź Jackowi Wojtysiakowi i Michałowi Głowali

Jestem wdzięczny Damianowi Leszczyńskiemu za zorganizowanie tej dyskusji, a redakcji „Studia Philosophica Wratislaviensia” za udzielenie łamów na jej publikację. Jackowi Wojtysiakowi i Michałowi Głowali dziękuję za zainteresowanie się moją książką i sformułowanie wielu uwag. Bardzo cieszę się z uwag pozytywnych, nie mniej zadowolony jestem z krytyki. Sam fakt dyskusji z obydwooma autorami jest dla mnie wielce nobilitujący. Są oni bowiem wytrawnymi metafizykami/ontologami mocno osadzonymi w tradycji tych dyscyplin, a ponieważ jak mało kto potrafią drażyć filozoficzne problemy oraz w jasny i rzetelny sposób pisać o nich, to przemyślenie przedstawionych uwag pozwoliło mi dostrzec niektóre kwestie lepiej.

Najważniejszą sprawą dla Michała Głowali jest problem materii pierwszej. Wydaje się, że podobnie jest w przypadku Jacka Wojtysiaka, choć on porusza też wiele innych zagadnień (stąd objętościowa dysproporcja moich odpowiedzi). Przyznaję, że nieraz zastanawiałem się, czy krytyka przedstawiona przeze mnie w *Podmiocie i własnościach* nie jest zbyt pochopna. Niekiedy nawiedza mnie myśl, że być może powinniśmy przyjąć koncepcję materii pierwszej. Te wątpliwości nasiliły się podczas analizy tekstów obu polemistów, ale ostateczny efekt jest jednak taki, że nadal podtrzymuję swoje stanowisko: koncepcja materii pierwszej jest nie do utrzymania.

1. Odpowiedź na uwagi Jacka Wojtysiaka

Skupię się na zarzutach przedmiotowych. W kwestiach warsztatowych prawie w całości przyjmuję krytykę Jacka Wojtysiaka, a tam gdzie jej nie przyjmuję, dałbym odpowiedź taką, jaką mój polemista przewidział.

1.1. Uwagi o pułapkach abstrakcji

Oczywiście zgadzam się, że to „nie sama abstrakcja wpada w pułapki, lecz błędna procedura identyfikacji statusu ontycznego” (s. 93)¹ wyróżnianych istności² i taki pogląd głosiłem w książce. Za potrzebne uważam opracowanie koncepcji stopni niesamodzielnosci oraz teorii „różnych odmian abstrakcji oraz odmian różnic subontycznych” (s. 93) — tu też zgadzam się z polemistą.

Rzeczywiście uważam, że pułapki abstrakcji polegają na przypisaniu niewłaściwego statusu ontycznego istnościom odkrywanych w procesie abstrakcji izolującej, i że dzieje się tak wtedy, gdy zapominamy „w abstrakcji od jakich związków istności te się ujmuje” (s. 92). Hipostazowanie, to znaczy przypisanie samodzielności czemuś niesamodzielnemu, jest tylko jedną z odmian takiego błędu — odmianą dość mało subtelną. Filozofowie klasyczni, Ingarden i większość analityków, to zbyt wytrawni gracze, aby taki błąd popełniać. Inną odmianą pułapki abstrakcji jest przypisywanie odkrywanych czynnikom innych funkcji niż rzeczywiście pełnią (ale to nie musi wiązać się z usamodzielnianiem), a jeszcze inną doszukiwanie się osobnych (choćby niesamodzielnich) istności tam, gdzie ich w ogóle nie ma. Źródłem tego ostatniego błędu może być na przykład branie różnicy pojęciowej (czysto intencjonalnej) za realną. Niestety, w książce wszystkie te trzy błędy nazywałem „hipostazowaniem” (nieraz w przypadku dwóch ostatnich kwalifikując je jako „subtelne”), co może być źródłem nieporozumień.

Wojtysiak przytacza trzy przykłady błędów, które uważam za efekty pułapki abstrakcji. Wydaje mi się, że przykłady te niewłaściwie interpretuje. Inna rzecz, czy wyraziłem się w książce dostatecznie jasno — być może nie, i to jest przyczyną błędnej interpretacji. Jeśli tak się sprawy mają, to proszę mojego polemistę o traktowanie poniższych wyjaśnień jako doprecyzowanie mojego stanowiska. Oto te przykłady:

A) „Natura konstytutywna jako czysta jakość oderwana od formalnej funkcji wsobnego określania (hipostaza materii przez abstrakcję od formy)” (s. 92). Nie odnajduję w tym określeniu własnej myśli. Pułapka abstrakcji w przypadku natury polega nie na jej hipostazie i uczynieniu z niej czystej jakości, ale na przypisaniu jej niewłaściwej funkcji. Ujmując naturę w abstrakcji od specyficznej dla niej funkcji (wsobnego określania — podoba mi się ten termin) i nazywając ją jakąś nazwą abstrakcyjną, typu „człowieczeństwo”, stwarzamy pokusę traktowania jej tak, jak każdej innej jakości, na przykład zmysłowej. Ulegając następnie tej pokusie (i to tu właśnie zaczyna się błąd), przyjmujemy, że sama natura nie może nadawać się na bycie podmiotem własności i uważamy ją za materię I (w sensie Ingardena) potrzebującą dopełnienia przez jakiś czysty podmiot, wraz z którym natura dopiero

¹ W nawiasach w tekście cytuję artykuły: J. Wojtysiak, *Substancja w trzech perspektywach. O książce Marka Piwowarczyka Podmiot i własności. Analiza podstawowej struktury przedmiotu*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2015, ss. 349, „*Studia Philosophica Wratislaviensia*” 12 (2017), nr 2, s. 87–94; oraz M. Głowała, *Materiał, podmiot oraz abstrakcyjne części przedmiotów konkretnych. O książce Marka Piwowarczyka Podmiot i własności. Analiza podstawowej struktury przedmiotu*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2015, ss. 349, „*Studia Philosophica Wratislaviensia*” 12 (2017), nr 2, s. 95–110.

² Będę używał tego słowa, choć zdaję sobie sprawę z jego archaiczności i nieporęczności. *Istność* znaczy tyle co angielskie *entity*.

będzie mogła pełnić funkcję podmiotu dla własności. Jednak jako zapodmiotowana w owym czystym podmiocie natura staje się po prostu jedną z własności i zaczyna pełnić funkcję przysługiwania. Nie umniejsza tego błędu przyznanie, że zarówno ów nagi podmiot, jak i natura oraz własności są niesamodzielne, a nawet przyznanie, że sama natura i podmiot nie są trójjedniami materii I, formy I, a czym innym: na przypisaniu naturze niewłaściwej funkcji.

B) „Nagi podmiot — jako (wzięty w samej formalnej funkcji nosiciela własności) czysty substrat oderwany od przysługujących mu (lub określających go) jakości (hipostaza formy przez abstrakcję od materii)” (s. 92). To określenie jest bliższe mojej myśli niż w poprzednim przypadku. Nie zgadzam się jednak, że postulowanie nagego podmiotu jest efektem wyłącznie hipostazowania formy I, o ile ono miałyby być usamodzielnieniem formy I (funkcji) bycia podmiotem. Tu chodzi o nieco subtelniejszą operację, która zachowuje niesamodzielną formę, czy też niesamodzielną czystego podmiotu. W podmiocie własności da się wyróżnić samą funkcję bycia podmiotem oraz to, co tę funkcję pełni (według mnie jest to natura konstytutywna, która pełni jeszcze funkcję czynienia przedmiotu tym, czym jest — i to jest jej podstawowa rola). Gdy teraz weźmiemy pod (wyłączną) uwagę funkcję bycia podmiotem, to możemy poznawczo ująć ją jako związek między tym, co tę funkcję pełni (naturą), a własnościami. Usamodzielnienie tego związku oznaczałoby, że może on sobie istnieć poza istnościami, które jednoczy — takiego błędu nikt nie popełnia. Ale możemy też myśleć o byciu podmiotem jako o „podmiotowości samej w sobie” czy „czystej podmiotowości”. Jeśli przechodzimy stąd do tezy, że owa podmiotowość to tyle co „ostateczny podmiot”, to właśnie wtedy wpadamy w pułapkę abstrakcji, nawet jeśli cały czas przypisujemy owemu podmiotowi choćby i najwyższy stopień niesamodzielnności. Ów podmiot jest „nagi”, ponieważ sama funkcja, z której się wypoczwarzył, jest z założenia czymś różnym od materii I, a więc czymś beztreściowym. Innymi słowy: tu pomyłka polega na tym, że związek bytowy traktujemy jak argument związku. Wtedy sam właściwy podmiot, czyli natura, musi być rozumiana inaczej: właśnie jako własność tkwiąca w tak uzyskanym nagim podmiocie. Jak widać, przypadki A) i B) idą ze sobą w parze. I znów nic tu nie pomoże teza, że nagi podmiot nie jest pełnym przedmiotem nawet w szerszym sensie.

Na marginesie: wydaje mi się, że Jacek Wojtysiak wpada właśnie w pułapkę abstrakcji, postulując istnienie czystego podmiotu jako principium. To principium to coś, co czyniłoby podmiot właśnie podmiotem — w poszukiwaniu takiej zasady nie ma nic złego. Jest ona jednak niczym innym jak funkcją, którą pełni natura konstytutywna (właściwy podmiot). Ta funkcja to określony związek z własnościami, natomiast Wojtysiak chce, aby to był jakiś czysty podmiot, zawarty w podmiocie własności. Wydaje mi się to błędem. Natura jest podmiotem dlatego, że pozostaje w specyficznym związku z własnościami, a nie dlatego, że jest związana z jakimś czystym podmiotem udzielającym jej podmiotowości. Opowiadam się zatem za relacjonalnym, a nie (quasi-)przedmiotowym principium podmiotowości.

C) „Stan rzeczy jako »abstrakcyjny ‘wycinek’ przedmiotu: podmiot wraz z jedną z własności, [...] ujęty [...] przez pryzmat związku przysługiwania« [...] — prawdopodobnie chodzi tu o wynik kilkuetapowej operacji, która prowadzi do hipostazy

pewnej materii–formy — z wyróżnionym w niej pewnym związkiem formalnym — w abstrakcji od momentu bytowej niesamodzielnosci lub do hipostazy niesamodzielnej calosci przez abstrakcje od fundujacych ja czesci” (s. 92). Komentarz Jacka Wojtysiaka nie oddaje istoty mojego sprzeciwu wobec stanow rzeczy. Zastanowmy sie, czy jest cos w stanie rzeczy, czego nie ma w przedmiocie (podmiocie okreslonym jakas wlasnoscia). Mamy czerwonego pomidora i stan rzeczy: „To, ze pomidor jest czerwony”. I w jednym, i w drugim jest czerwien; i w jednym, i drugim jest pomidor (jako podmiot czerwieni); i w jednym, i w drugim jest zwiazek przyslugiwania zachodzacy miedzy czerwieni a pomidorem. Rownica zachodzi tylko na poziomie pojeciowym i werbalnym. Mowiac: „To, ze pomidor jest czerwony”, odnosza sie do czerwonego pomidora, ale w pewien specyficzny sposob: podkreslajac zachodzenie zwiazku miedzy czerwieni a pomidorem. Postulowanie stanu rzeczy nie jest w zaden sposob umocowane po stronie samej rzeczy. Podkreslanie niesamodzielnosci stanu rzeczy w zaden sposob nie ratuje tej kategorii bytowej. Uratowana by zostala, gdyby w stanie rzeczy bylo cos wiecej niz jest w samej rzeczy.

I jeszcze jedno: w ksiazce twierdze, ze Ingarden popelnil tylko ten ostatni blad. Nigdzie nie przypisywalem mu dwuch pierwszych.

1.2. Uwagi o materii pierwszej

Zaczne od drobnego sprostowania: nigdzie wprost nie przedstawilem krytyki tomistycznej koncepcji substancji jako substratu. Substratowa koncepcje substancji przypisuje sie Locke’owi i niektórym analitykom. Twierdzilem natomiast w wielu miejscach, ze pojecie nagiego substratu w niektórych odmianach (przypisujacych substratowi niesamodzielnosc) jest bliskie pojeciu materii pierwszej. Dziś dodalbym: z ta roznicą, ze korelatem wlasciwym substratu sa wlasnosci, a materii pierwszej — forma substancjalna. Co prawda twierdzilem tez, ze przyjecie materii pierwszej prowadzi do degradacji formy do wlasnosci, w zwiazku z czym koncepcja Arystotelesa i Tomasza moze byc zinterpretowana jako wyrafinowana teoria substratu (substrat jest tu niesamodzielnym, a niektore wlasnosci konieczne). Krytyka koncepcji materii pierwszej jest dla mnie jednoczesnie krytyka koncepcji niesamodzielnego nagiego substratu, i na odwrot.

Twierdzilem (i twierdze), ze materia pierwsza, aby mogla odgrywac swoja role w zmianie substancjalnej, musi byc pomyslana jako cos, co jest pozbawione wlasnej tozsamosci. To uwaزام za nieprzewyciezalną trudnosc koncepcji materii pierwszej, prowadzaca do sprzecznosci. Jacek Wojtysiak twierdzi jednak, ze nie trzeba materii pierwszej odmawiac tozsamosci (s. 94). Wystarczy, ze zrozumie sie, iz ona, jako istnosc o wysokim stopniu niesamodzielnosci, ma inne warunki identycznosci niz kompletne przedmioty, i to umozliwia jej odgrywanie zasadniczej roli (funkcji formalnej I), do ktorej zostala powolana: mozliwosci przekształcania sie z jednej substancji w druga (bycia podlozem, resp. podmiotem³, form substancjalnych). Wojtysiak uwaزام, ze to wlasnie ta rola oraz odniesienie do form (już

³ Napisalbym po prostu: podmiotem, ale niektórzy tomiści wolą używać terminu *podłoże*, termin *podmiot* rezerwując tylko dla podmiotu własności (przypadłości).

w sensie formy II) substancjalnych zapewniają tożsamość materii pierwszej. Owo zapewnianie należy chyba rozumieć tak, że materia pierwsza jest tożsamościowo zawisła (w sensie ustalonym przez Lowe'a, o czym piszę w książce) od owej funkcji formalnej I oraz od form substancjalnych. Przypomnę jeszcze, że materia I ma być tym, co trwa w zmianie substancjalnej, przy czym wydaje się, że tego trwania nie można rozumieć inaczej niż jako zachowywania tożsamości (i to w sensie endurantystycznym).

Otóż jeśli materia pierwsza miałaby być zawisła tożsamościowo od form substancjalnych, to absolutnie nie mogłaby trwać jako podłoże zmiany substancjalnej, skoro ta ostatnia polega na zastąpieniu jednej formy drugą. Jeśli materia pierwsza jest zawisła tożsamościowo od formy substancjalnej, to usunięcie formy powoduje utratę tożsamości przez materię pierwszą. Nie umiem pojąć tego inaczej niż jako zniszczenie materii pierwszej (jeśli coś traci swą tożsamość, to po prostu przestaje istnieć; zawisłość tożsamościowa implikuje zawisłość egzystencjalną). Zatem tożsamość materii pierwszej nie może być wyznaczona przez odniesienie do form. Zostaje więc tylko funkcja formalna I: bycie podłożem następujących po sobie form substancjalnych. Materia pierwsza byłaby więc niesamodzielnym czynnikiem posiadającym czysto formalną (I) naturę konstytutywną.

Przyznaję, że bardzo długo rozważałem możliwość akceptacji tak rozumianej materii pierwszej. Coś takiego nie musi być, nawet na gruncie ontologii Ingardena, żadnym kuriozum. Na przykład o całości sumatywnej jako całości (a nie jako o przedmiocie wyższego rzędu) Ingarden twierdzi, że ma formalną naturę (nazywaną „całościowością”), która polega na „byciu nadrzędnym systemem miejsc [w sensie ogólniejszym niż przestrzenny — M.P.], które mogą być (lub są) wypełnione przez części”⁴. Jako taka, jest całość „pustym schematem formalnym”. *Per analogiam* można myśleć o materii pierwszej jako „pustym schemacie formalnym”, który każdorazowo dopełniany jest do kompletnej substancji. Materia pierwsza byłaby wtedy jakimś „ontycznym miejscem” (tu już na pewno w nieprzestrzennym sensie), które ma wypełnić następną formą substancjalną.

Koncepcja czysto formalnej natury materii pierwszej jest o tyle atrakcyjna, że materia pierwsza nie posiadałaby wtedy tożsamości w normalnym sensie. Wielokrotnie pisałem w książce, że indywidualną tożsamość przedmiotu (w sensie wąskim, kompletnego podmiotu własności) wyznacza natura konstytutywna, która jest pewną jakością (w Ingardenowskiej terminologii: materią I), na przykład indywidualne człowieczeństwo, indywidualna (ta oto) końskość i tak dalej (jednocześnie problem jednostkownienia uważam za nieporozumienie). Materia pierwsza byłaby wyjątkowa nie tyle dzięki swej niesamodzielnności, co dzięki owej formalnej tożsamości. Jeśli, jak twierdziłem, niesamodzielnność nie ratuje materii pierwszej przed zarzutami, to być może formalny charakter jej tożsamości zdoła ją uratować. Przypisując bowiem materii pierwszej tożsamość tego typu, można twierdzić, że

⁴ R. Ingarden, *Spór o istnienie świata*, t. 2, cz. 1, Warszawa 1987, s. 109.

nie jest ona czymś (bo za bycie czymś odpowiada jakościowa natura konstytutywna), ale mimo to jest jakąś istnością i nie łamie zasady *no entity without identity*⁵.

Powyższe rozwiązanie, pomimo swego wyrafinowania, jest pozorne. Aby to wykazać, proponuję najpierw odróżnić zmianę istotową od zmiany akcydentalnej. Wbrew pozorom to odróżnienie nie pokrywa się z odróżnieniem na zmianę substancjalną i akcydentalną. Ze zmianą istotową mamy do czynienia wtedy, gdy przedmiot o pewnej istocie zostaje zniszczony i w jego miejsce pojawia się przedmiot o innej istocie. Cały czas mam na myśli istotę indywidualną (co nie znaczy, że unikatową). Nie ma dwóch przedmiotów o tej samej istocie (ale mogą być dwa przedmioty o takich samych, doskonale podobnych istotach). Ze zmianą akcydentalną mamy do czynienia wtedy, gdy przedmiot o pewnej istocie traci jakąś własność i w jej miejsce uzyskuje inną, ale cały czas pozostaje przedmiotem o określonej istocie. Zmiana istotowa i akcydentalna mogą dotyczyć zarówno substancji, jak i własności, dlatego dwa wspomniane wyżej rozróżnienia nie pokrywają się. Jeśli czerwień róży rosnącej w moim ogrodzie zaczyna stawać się ciemniejsza, to czerwień ta nie ginie, tylko podlega zmianie akcydentalnej — uzyskuje nowy stopień tak zwanej jasności barwy⁶. Gdy jednak czerwień zostaje wyparta przez jakiś odcień brązu, wtedy mamy zmianę istotową w porządku własności — jedna własność ginie i zostaje zastąpiona przez drugą. Nie jest to jednak zmiana substancjalna, ponieważ żadna substancja tu nie ginie i nie powstaje. Dla róży jest to jednak zmiana akcydentalna — róża tylko traci starą i uzyskuje nową barwę. Natomiast gdy róża zostaje zniszczona, tak że w wyniku tego zniszczenia powstaje jakaś inna substancja, to jest to z całą pewnością zmiana istotowa i substancjalna zarazem. Zmiana substancjalna jest zatem odmianą zmiany istotowej.

Zastanówmy się, dlaczego możliwa jest zmiana akcydentalna. Nie wymienię tu wszystkich warunków, ale na pewno do warunków koniecznych możliwości zachodzenia zmiany akcydentalnej należy to, że to, co się zmienia (podmiot zmiany), jest realnie różne od tego, co w zmianie ulega zniszczeniu (własności), oraz że między tymi dwoma czynnikami zachodzi wieloznaczna niesamodzielnosc. Sama realna różnica nie wystarczy — do znudzenia powtarzałem, że możliwe są, różne od istoty, własności konieczne (*propria*, atrybuty, własności bezwzględnie własne, własności konsekwentne i tym podobne). Niemniej owa różnica jest warunkiem koniecznym: to, co się zmienia, nie może być tożsame z tym, co podczas zmiany ulega zniszczeniu. Warunek ten wynika wprost z warunku wieloznacznej niesamodzielnosci.

⁵ Na marginesie należy dodać, że jeszcze bardziej atrakcyjna wydaje się możliwość połączenia obu wspomnianych wyżej „pustych schematów formalnych” w jeden twór. Materia pierwsza byłaby wtedy ze swojej natury (formalnej I) czymś, co nie tylko jest zdolne przyjąć formę, ale co również zapewnia, by użyć metafory, „przestrzenną dystrybucję ładunku jakościowego”, który niesie za sobą forma substancjalna. Materia pierwsza byłaby wtedy odpowiedzialna za fakt, że substancje posiadają części albo przynajmniej za możliwość posiadania części. Nie jest to teoria nowa. Niektórzy scholastycy, np. Paweł z Wenecji, postulowali bezpośrednie połączenie (być może utożsamienie) materii pierwszej z niedookreśloną co do konkretnych rozmiarów rozciągłością. Substancje byłyby rozciągle nie dzięki posiadaniu własności rozciągłości, ale dzięki czemuś bardziej podstawowemu niż własność: rozciąglej samej w sobie materii pierwszej.

⁶ Żeby dodatkowo nie komplikować wyводу, zakładam, że coś takiego jak jasność barwy jest jej własnością, choć to założenie wymaga dyskusji.

modzielności. Z tego ostatniego wynika też inny warunek, jeszcze niewymieniony przeze mnie: podmiot zmiany nie może być zawisły tożsamościowo od tego, co w zmianie ulega zniszczeniu. *Ex definitione* wykluczona jest też niesamodzielność jednoznaczna.

A czemu zachodzą zmiany istotowe? Zmiana istotowa może zachodzić tylko wtedy, gdy to, co ma się zmienić, jest tożsame z tym, co ma ulec zniszczeniu, bądź gdy podmiot (podłoże) zmiany jest tożsamościowo zawisły lub jednoznacznie niesamodzielny wobec tego, co w zmianie ulega zniszczeniu. Dlatego zmiana istotowa jest zastąpieniem jednej istoty przez drugą, a nie wymianą własności. Jeśli zmiana substancjalna jest zmianą istotową, to materia pierwsza, jako podłoże takiej zmiany, musiałaby być tożsama z formą substancjalną albo od niej tożsamościowo zawisła, albo jednoznacznie niesamodzielna. Wtedy jednak zmiana substancjalna nie mogłaby, jak tego chcą tomiści i część arystotelików, polegać na wymianie form substancjalnych przez materię pierwszą, bo ta ostatnia również (jako tożsama lub zawisła tożsamościowo lub jednoznacznie niesamodzielna) musiałaby zginąć wraz z usunięciem formy. Poza tym pojęcie materii pierwszej nie pełniłoby żadnej funkcji w wyjaśnianiu zmiany substancjalnej: wystarczyłoby powiedzieć, że ta ostatnia polega po prostu na zniszczeniu formy.

Wniosek stąd taki, że jeśli w rozumienie zmiany substancjalnej wklejemy pojęcie materii pierwszej, to upodobniamy ten typ zmiany do zmiany akcydentalnej. I rzeczywiście w tomistycznej koncepcji zmiany substancjalnej odnajdujemy warunki charakterystyczne dla zmiany akcydentalnej: realną różnicę, niezawisłość tożsamościową i wieloznaczną niesamodzielność (tu: materii pierwszej względem form substancjalnych). Ewentualne pozostałe warunki zdaje się, że są wspólne zarówno dla zmian akcydentalnych, jak i istotowych (na przykład uleganie oddziaływaniom), więc nie mogą służyć za kryterium odróżnienia obu rodzajów zmian. Zmianę substancjalną od akcydentalnej może odróżnić tylko to, że w pierwszej z nich podmiot ulega zniszczeniu, a w drugiej zostaje zachowany.

Zwróćmy jednak uwagę, że w przypadku warunku realnej różnicy i warunku niezawisłości tożsamościowej chodzi tylko o tożsamość numeryczną, niezależnie od tego, co miałyby ją zapewniać. Jeśli do jej zapewnienia wystarcza posiadanie istoty czysto formalnej I, to niestety postulowanie materii pierwszej o czysto formalnej I istocie zaciera różnicę między zmianą substancjalną i akcydentalną. Jedynym ratunkiem dla materii pierwszej byłoby uznanie, że ona nie ma żadnej tożsamości numerycznej — wtedy jednak wracamy do punktu wyjścia. Jeśli nie jest to tożsamości numeryczna, to czy w ogóle można mówić o tożsamości? Nie mogłaby to być przecież również tożsamość gatunkowa ani rodzajowa. Coś pozbawione własnej tożsamości, a istniejące w każdej rzeczy materialnej, byłoby jednocześnie wszystkimi rzeczami naraz. Niektórzy tomiści (na przykład Jeff Brower) uważają bowiem, że materia pierwsza jest ta sama we wszystkich substancjach — jest to konsekwencja odmówienia materii pierwszej własnej tożsamości.

Miłośnik materii pierwszej mógłby w tym miejscu powiedzieć tak: ależ w zmianie substancjalnej, nawet gdy przyjmujemy materię pierwszą, podmiot właśnie ulega wymianie, a nie zachowaniu. Chodzi tu jednak o podmiot własności (przy padłości) rozumiany jako złożenie z materii pierwszej i formy substancjalnej. Toż-

samość tego podmiotu jest wyznaczona przez oba te składniki, nie więc dziwnego, że po utracie formy przestaje on istnieć i jest wyparty przez inny. Jest to jednak tylko przesunięcie problemu. Owszem, dla tak rozumianego podmiotu utrata formy będzie zmianą istotową, ale dla materii pierwszej wciąż będzie to zmiana akcydentalna. Na takiej samej zasadzie mógłbym powiedzieć, że w ogóle nie ma zmian akcydentalnych, bo w każdej zmianie dochodzi do zastępowania pewnych istności innymi: na przykład Sokrates siedzący zastępuje Sokratesa stojącego. Jest to oczywiście zmiana istotowa, ale dla tak zwanych jedności akcydentalnych, to znaczy złożań podmiotu substancjalnego z własnością (przypadłością). Dla podmiotu substancjalnego jest to zmiana akcydentalna.

Złożenie formy substancjalnej i materii pierwszej nosi wszelkie znamiona jedności akcydentalnej: realna różnica, wieloznaczna niesamodzielność, zastępowanie przez inną jedność, ale z zachowaniem tożsamości jednego z elementów.

Odnosnie do drugiej uwagi Jacka Wojtysiaka (dotyczącej przykładu z przeszczepem nerki [s. 94]): wydaje mi się ona ciekawa, ale trzeba przypomnieć, że na gruncie metafizyki tomistycznej coś należy do określonego gatunku dzięki swej formie substancjalnej. To samo trzeba powiedzieć o mocy gatunku: sprowadza się ona do mocy formy substancjalnej. Według Tomasza i tomistów (Mieczysław Krąpiec, David Oderberg) części integralne substancji, takie jak nerka, nie mają własnych form substancjalnych, ale są tym, czym są, i należą do określonego gatunku dzięki formie substancjalnej całej substancji. Jeśli więc dokonujemy wydzielenia części integralnej z obrębu substancji, do której ona należy, to część taka nie może nawet krótkiej chwili przetrwać mocą gatunku, bo ta sprowadza się do mocy formy, a usunięta część jest już poza jej zasięgiem. Aby interpretacja zaproponowana przez Wojtysiaka rozwiązywała problem, należałoby uznać, że zasięg mocy formy nie ogranicza się do części pozostających w fizycznym kontakcie z całością substancji — być może tak jest, ale to dopiero trzeba zbadać.

Jeśli zaś chodzi o uwagę trzecią (na temat zasady ciągłości [s. 94]), to proponowana przeze mnie zasada ciągłości ma charakter relacyjny, więc z całą pewnością nie jest materią pierwszą. Wojtysiak ciągle przez „zasadę” rozumie jakiś subontyczny element substancji, który zachowuje tożsamość w zmianie substancjalnej.

Protestowałem (i nadal to czynię) przeciw tomistycznej koncepcji wirtualnej obecności, a nie przeciw każdej odmianie tej koncepcji.

2. Odpowiedź na uwagi Michała Głowali

W *Podmiocie i własnościach* wyraziłem przekonanie, że jednym z kontekstów wprowadzenia pojęcia materii pierwszej jest problem materiału (chodzi o tak zwany materiał₃). Twierdziłem jednak, że jest to kontekst redundantny, który prędzej czy później sprowadzi się do kontekstu zmiany substancjalnej. Michał Głowala o wiele ściślej wiąże zagadnienie materii pierwszej z zagadnieniem materiału i deklaruje, że postara się pokazać, iż materiał nie jest (wbrew mojej opinii) abstrakcyjną warstwą przedmiotu materialnego (s. 96). W związku z tym materia pierwsza, której pojęcie jest pokrewne pojęciu materiału, też nie jest taką warstwą.

W zamierzeniu Głowali taki antyabstrakcjonizm ma pozwolić na uchylenie zarzutów stawianych koncepcji materii pierwszej. Mój polemista zgadza się bowiem, że pojęcie abstrakcyjnej materii pierwszej jest nie do przyjęcia. Oczywiście w tym kontekście „abstrakcyjny” znaczy tylko tyle co „niesamodzielny”. Głowala zauważa, że „abstrakcjonizm jest potężną ideą w tym sensie, że w wielu wypadkach narzuca się z nieodpartą siłą jako coś najbardziej naturalnego i oczywistego” (s. 110). Wydaje mi się, że potędze tej idei uległ, mimo deklaracji, również Michał Głowala. Jego krytyka, zwłaszcza w odniesieniu do materiału i materii pierwszej, jest jedynie krytyką pewnej wersji abstrakcjonizmu.

Przyjmuję zarówno (EM), jak i (OM), z jednym wszakże zastrzeżeniem. W (EM) mówi się o abstrakcji od pewnych własności i o wyróżnianiu niesamodzielnej części, tak jakby to były zawsze dwie osobne operacje (s. 97). Z tym się nie zgadzam i jeśli w książce pozostawiłem tę sprawę niejasną, to dziękuję za okazję do sprostowania. W przeważającej większości wypadków, a już na pewno podczas analizy przedmiotów materialnych, abstrakcja polega właśnie na wyróżnianiu pewnej warstwy, własności czy zespołu własności, i skupianiu się tylko na niej. Owo skupienie oznacza zarazem pominięcie innych warstw (resp. własności) i dlatego mamy do czynienia z abstrakcją. Uważam, że przedmiot materialny ma nieskończoną ilość cech: dotarcie do interesującej mnie warstwy poprzez świadome ujęcie i pominięcie każdej innej warstwy czy własności byłoby biologicznie niemożliwe (nikt nie żyje tak długo). Zatem nie rozumiem abstrakcji w tak mocnym sensie, jaki przypisuje mi Michał Głowala. Zgadzam się z nim, że wyróżniając warstwę materiału, wcale niczego nie rozstrzygamy co do tożsamości przedmiotu, którego materiał jest warstwą, ani nie deliberujemy o każdej własności z osobna, czy ją pominać, czy nie. Jest raczej tak, że pojęcie materiału ustalamy nie na podstawie obserwacji pojedynczego statycznego przedmiotu, ale na podstawie obserwacji przemiany jednego przedmiotu w drugi. W takim wypadku rzeczywiście w miarę szybko poznajemy, co jest materiałem obu przedmiotów, dlatego że sam proces przemian niejako zmusza nas do skupienia uwagi na tym, co zostaje zachowane podczas transformacji — nie zwracamy uwagi na przykład na ciągle zmieniające się kształty, tylko na to, co te kształty przyjmuje.

W tekście Michała Głowali dostrzegam pewną niejasność, to znaczy nie jestem do końca pewien, czy mówi on o materiale po prostu, czy o porcji materiału. Wydaje mi się, że częściej ma na myśli to drugie. Ma to znaczenie o tyle, że identyfikacja porcji materiału jest łatwiejsza niż identyfikacja materiału. Ten ostatni jest pewnym tworem o wiele bardziej abstrakcyjnym i wydaje mi się, że posiada jedynie tożsamość rodzajową. Gdy widzimy rzeźbiarza odłupującego kawałki marmuru, to bez trudu stwierdzimy, że wykonany w efekcie posąg jest z tego samego rodzajowo materiału, ale nie z tej samej porcji materiału, co zastana przed pracą bryła marmuru (część tej ostatniej porcji odłupano). Z kolei, gdy kawałek stali szybko topiącej roztopimy i odlejemy z niego figurkę szachowego króla tak, że nie uronimy żadnej cząstki stali, to będziemy mieć pewność, że mamy do czynienia z tą samą porcją materiału, ale będziemy zastanawiać się, czy jest to rodzajowo ten sam materiał, to znaczy czy obróbka termiczna nie przemienia stali szybko topiącej w innego rodzaju stop żelaza z węglem. Identyfikując porcję materiału, zwracamy uwagę na

łatwiejsze do dokładnego uchwycenia określenia ilościowe — ta sama porcja to porcja o tej samej charakterystyce ilościowej (zwłaszcza objętości i masy). Dlatego właśnie Michał Głowala wiąże pojęcie materiału z koncepcją doskonale szczelnego naczynia (s. 99) — jest ono szczelne w tym sensie, że ilość materiału nie doznaje w nim uszczerbku ani powiększenia. Stąd też może mówić o ponadprzedmiotowej tożsamości materiału. Ona zresztą może być rozumiana jako rodzajowa tożsamość materiału, ale Głowala ma chyba na myśli tożsamość porcji materiału („cała ta woda”). Własności ilościowe są własnościami addytywnymi, więc porcja materiału, na przykład wyznaczona przez określoną masę, może występować w postaci wielu przedmiotów (dlatego, że ich masy można dodać do siebie). Takie rozproszenie nie ma znaczenia, o ile zgadza się ilościowa charakterystyka materiału. Ten specjalny rodzaj tożsamości (porcji) materiału nie jest więc tak tajemniczy, jak to sugeruje mój polemista. A czy fakt posiadania przez porcję materiału specjalnego rodzaju tożsamości godzi jakoś w abstrakcjonizm?

Mówiąc o porcji materiału, możemy mieć na myśli dwa przedmioty: albo bryłę materiału, albo określoną ilość materiału. Porcja w pierwszym znaczeniu jest przedmiotem konkretnym (samodzielnym). Ma określony kształt, wielkość, masę, kolor, dyspozycje i tak dalej. Natomiast określona ilość jest, według mnie, niesamodzielną warstwą, której tożsamość jest wyznaczona wyłącznie przez charakterystyki kwantytatywne. Jeśli utożsamimy obydwie znaczenia „porcji materiału”, nieuchronnie wylądujemy w pseudoproblemie konstytucji materialnej, który swego czasu tak bardzo absorbował filozofów analitycznych. W figurce szachowej z powyższego przykładu przetrwała pewna porcja materiału, ale rozumiana jako jego ilość, a nie jako konkretna bryła, istniejąca przed procesem transformacji.

Nie jestem pewien czy antyabstrakcjonizm Głowali (w odniesieniu do materiału) jest tożsamy z poglądem, że materiał (porcja materiału) jest przedmiotem konkretnym (samodzielnym). Na pierwszy rzut oka tak powinno być, skoro podział na abstrakty i konkrety jest wyczerpujący i rozłączny. Ale mój polemista pisze: „jest oczywiste, że stwierdzając w rozważanych tu przypadkach tożsamość materiału, *abstrahujemy* od własności przedmiotów konkretnych w tym sensie, że nie bierzemy ich pod uwagę jako wyznaczników tożsamości” (s. 99). Przyjmuje więc słabszą wersję (EM). W związku z tym powinien przyjąć odpowiadającą jej wersję (OM) i tak właśnie czyni: „tożsamość materiału *nie jest* tożsamością konkretnego przedmiotu” (s. 100). Zatem antyabstrakcjonizm Michała Głowali nie jest odrzuceniem wszelkiego abstrakcjonizmu.

W związku z tym Głowali obrona materii pierwszej ulega znacznemu osłabieniu, jeśli nie unieważnieniu. Mój polemista uważa bowiem pojęcie materii pierwszej za wynik abstrakcji, ale tej w słabszym sensie, który i ja przyjmuję: „jeśli rozważamy tożsamość materialną, nie biorąc pod uwagę żadnych własności (w najszerszym sensie), rozważamy wprost materię pierwszą” (s. 102–103). O samej materii pierwszej ujętej w porównaniu z materiałem czytamy: „różnica między gliną a materią pierwszą jest *wyłącznie* następująca: glinę możemy rozważać nie tylko jako *materiał*, ale jako *specjalny rodzaj materiału*; materii pierwszej natomiast, dla kontrastu, nie można rozważać jako *specjalnego rodzaju materiału*” (s. 103). Przecież to jest taka różnica, jak na przykład między czerwienią a barwnością!

Materia pierwsza okazuje się najmniej dookreślonym materiałem, najbardziej abstrakcyjnym determinabile. Abstrakcyjność materii pierwszej da się wywnioskować również z tego fragmentu: „zmiana substancjalna mianowicie z istoty swej polega na zniszczeniu tożsamości *konkretnej substancji*, a nie tożsamości w ogóle; to więc, co zapewnia ciągłość w takiej zmianie, musi być pozbawione tożsamości *konkretnej substancji*, a zarazem zapewniać ciągłość opartą na innego typu tożsamości — na przykład tożsamości materiału, która jest różna od tożsamości konkretnej substancji” (s. 104). Jeśli tożsamość materii nie jest tożsamością konkretnej substancji, to tożsamością czego jest? Chyba nie idzie o coś konkretnego, ale niesubstancjalnego. O jaką kategorię bytu realnego (czasowo określonego) mogłoby tu bowiem chodzić? Materia pierwsza wydaje się więc abstraktem również dla Michała Głowali, wbrew jego deklaracjom. Być może jednak przez „konkretną substancję” mój polemista rozumie po prostu „tę oto substancję”, „jakąś substancję”. Wtedy jednak mógłbym, wobec ostatniego cytatu, zastosować krytykę z punktu 1.2.

Zwróćmy uwagę, że jeśli owa tożsamość materiału, o której mówi Głowala, to wyznaczona przez ilość tożsamość porcji, to nie można, przez analogię, zastosować tej koncepcji do tożsamości materii pierwszej. Ta ostatnia nie jest bowiem ilościowo określona, stąd w ogóle nie ma sensu mówić o jej porcjach (czego nie dostrzegają niektórzy tomiści). Każde przypadłościowe określenie zakłada bowiem istnienie formy substancjalnej.

Jeśli moja interpretacja jest fałszywa, to należałoby antyabstrakcjonizm Głowali rozumieć jako w ogóle zanegowanie sensowności dystynkcji konkretny/abstrakcyjny. W grę może też wchodzić możliwość, że sprzeciw Głowali budzi nie tyle teza o abstrakcyjności materiału (resp. materii pierwszej, podmiotu substancjalnego), co teza, że miałby on być częścią pełnego przedmiotu. Taka interpretacja wyłania się z par. 5 artykułu: „czy jednak nie można [...] uznać, że kategorie całości absolutnej i części abstrakcyjnej nie są adekwatnym narzędziem do charakterystyki formalnej funkcji modyfikacji, i w ogóle struktury podmiot-własności?” (s. 106).

Zacznijmy od pierwszej sprawy: uważam, że porzucenie dystynkcji konkretny/abstrakcyjny nieuchronnie wiąże się z zablokowaniem możliwości ontologicznej analizy przedmiotu. Jak mogłaby się ona dokonać, gdybyśmy nie wyróżniali aspektów przedmiotu, pozostających ze sobą w istotnych związkach i występujących w roli argumentów rzeczywistej (ważnej przedmiotowo) relacji bycia racją? Możliwość różnicy pojęciowej tu nie wystarcza, ponieważ wtedy aspekty nie pozostawałyby we wspomnianej relacji. Porzucenie omawianej dystynkcji musi zakończyć się reizmem. Dlatego z niepokojem odczytuję następującą wypowiedź Michała Głowali: „brak w ogóle podstaw do kontrastowania *samego podmiotu* i podmiotu *zmodyfikowanego własnościami*” (s. 109) jako pierwszy krok ku reizmowi.

Oczywiście zasadne jest pytanie, czy abstrakcyjne aspekty powinniśmy traktować jako części, a konkretny jako całość. W książce zdecydowałem się na taki krok, ponieważ nie widziałem innej możliwości mówienia o stosunku aspektów do konkretnego. Wszędzie, gdzie wyróżniamy cokolwiek, pojawia się owa wyróżniana istność i cała reszta. To wyróżnianie jest jakimś oddzielaniem. Zresztą słowo „całość” uwikłane jest w Ingardenowską definicję niesamodzielnosci, a więc abstrakcyjności. Podzielał jednak niepokój Głowali co do stosowalności pojęć „część” i „całość”

w tym kontekście. Zaznaczam, że używałem (i używam) ich w zmodyfikowanym sensie. Odróżniam całość absolutną od całości względnej, co idzie w parze z innym rozumieniem słowa „część” w wyrażeniach „część abstrakcyjna” i „część konkretna”. Podkreślałem, że między częściami abstrakcyjnymi zachodzą jedynie związki formalne, a nie regularne relacje. Staralem się też pokazać specyfikę tych związków, zwłaszcza związku modyfikacji. Stąd tezę o ontycznej przezroczystości własności (która w ogóle jest niemożliwa w przypadku normalnie rozumianych części) próbowałem oddać za pomocą modelu tworzywowego. Innymi słowy: starałem się mimo wszystko ograniczyć niepożądane skojarzenia związane z pojęciami „część” i „całość”, zastosowanymi poza ich właściwym kontekstem. Być może udałoby się moje tezy wyrazić bez używania tych pojęć, ale to tylko świadczyłoby o tym, że sprzeciw wobec stosowania tych pojęć nie godzi w ogóle w abstrakcjonizm.

Na pytanie Głowali, jakie są racje odróżniania podmiotu i własności, wydaje mi się, że odpowiedziałem w książce, choć twierdziłem tam, że nie jest to moim głównym zadaniem. Bez odróżnienia własności jako abstrakcyjnych aspektów przedmiotu nie da się wyjaśnić faktów przywołanych w kontekstach: porównawczym, zmiany i oddziaływania. Z kolei jeśli wyróżniamy podmiot i własności tylko w ten sposób, że podmiot to konkret, a własności to abstrakty, to wtedy rzeczywiście przechodzimy na pozycję teorii wiązki. Przedstawiłem też argument, że podmiot rozumiany jako natura konstytutywna potrzebny jest, aby scalić ze sobą własności bezwzględnie własne.

Nieco sceptycznie patrzę na zaproponowaną przez Michała Głowalę interpretację dwóch wypracowanych przeze mnie modeli jako odpowiadających dwom rodzajom tożsamości w świecie. To jednak zagadnienie na osobną dyskusję.